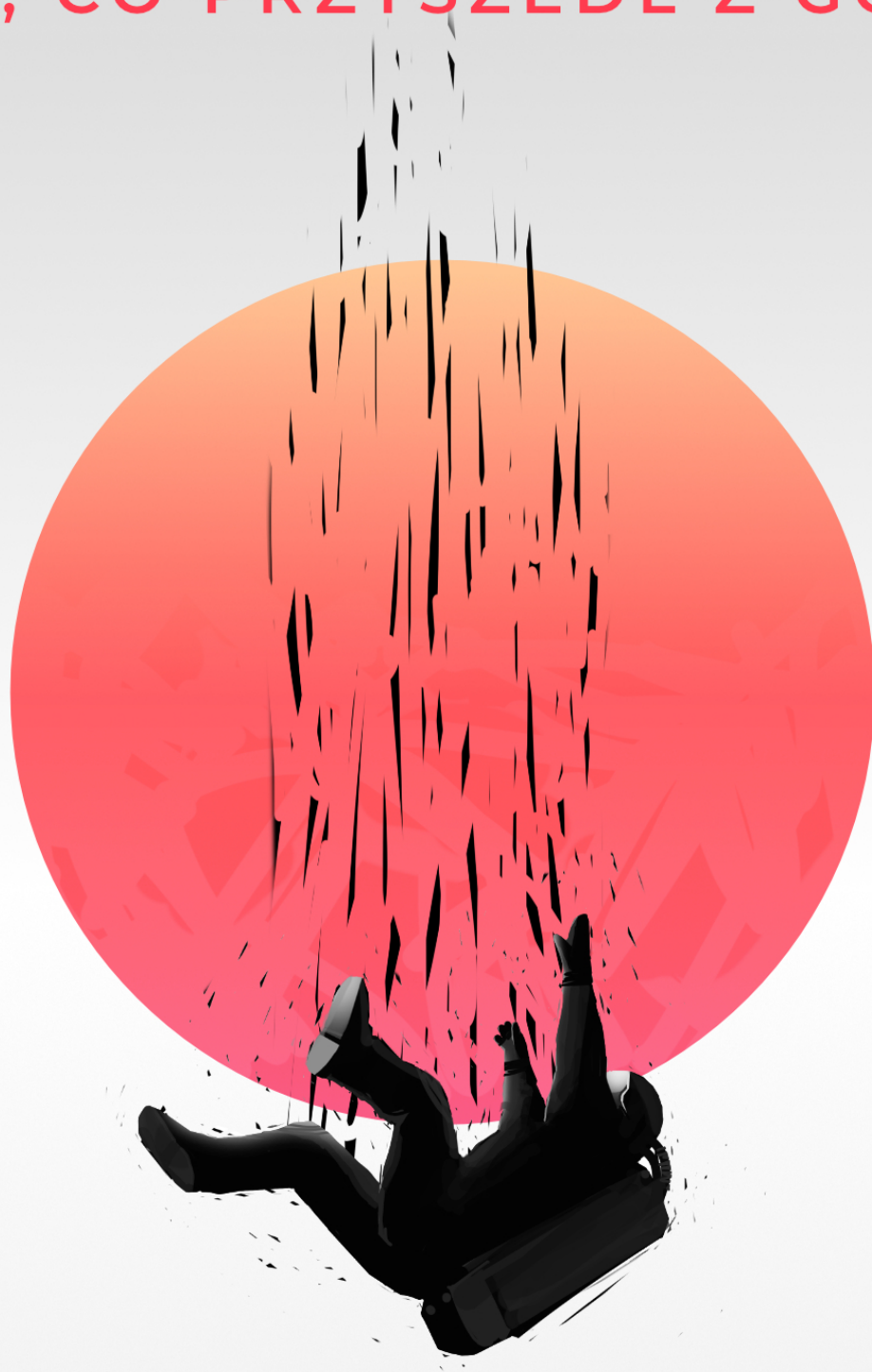


BOHDAN

PETECKI

TAKI, CO PRZYSZEDŁ Z GÓRY



Bohdan Petecki

TAKI, CO PRZYSZEDŁ Z GÓRY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-11-9

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995

Projekt okładki: Albert Łukasiak

Spis treści

- I. Ziemia. Przeszły niedokonany
- II. Ziemia jeden. Jeden
- III. Ziemia jeden. Dwa
- IV. Ziemia minus iks. Jeden
- V. Ziemia jeden. Dwa (c.d.)
- VI. Alfa jeden
- VII. Ziemia jeden. Trzy
- VIII. Ziemia minus iks. Dwa
- IX. Ziemia jeden. Trzy (c.d.)
- X. Ziemia dwa. Jeden
- XI. Beta jeden
- XII. Ziemia minus iks. Trzy
- XIII. Beta jeden (c.d.)
- XIV. Ziemia jeden. Cztery
- XV. Ziemia minus iks. Cztery
- XVI. Ziemia jeden. Cztery (c.d.)
- XVII. Ziemia minus iks. Pięć
- XVIII. Ziemia jeden. Cztery (c.d.)
- XIX. Ziemia dwa. Dwa
- XX. Ziemia minus iks. Sześć
- XXI. Alfa dwa. Omega jeden. Alfa trzy
- XXII. Ziemia jeden. Pięć
- XXIII. Ziemia minus iks. Siedem
- XXIV. Ziemia jeden. Pięć (c.d.)
- XXV. Beta dwa. Omega dwa. Beta trzy
- XXVI. Ziemia dwa. Trzy
- XXVII. Ziemia minus iks. Osiem
- XXVIII. Ziemia dwa. Trzy (c.d.)
- XXIX. Alfa cztery. Alfa pięć. Omega trzy
- XXX. Ziemia jeden. Sześć
- XXXI. Ziemia minus iks. Dziewięć
- XXXII. Ziemia jeden. Sześć (c.d.)
- XXXIII. Ziemia. Zero
- XXXIV. Ziemia minus iks. Dziesięć
- XXXV. Ziemia. Zero (c.d.)

I. Ziemia. Przeszły niedokonany

Na Kupową nikt nigdy nie przychodził z góry. Granica rezerwatu, biegnąca pobliską granią, nie była ogrodzona. Nie istniała też jakakolwiek bariera innego rodzaju. Dostępu z góry nie broniły żadne prawa, zwyczaje ani przesady. Zresztą, z przesądów nieliczni mieszkańcy przysiółka zapewne niewiele by sobie robili. Ich życie było proste i uporządkowane. Kobiety gospodarowały i uprawiały ogródki przy domach, a mężczyźni zarabiali pieniądze na nizinie, tam, gdzie za odgałęzieniem karpackiej magistrali, oraz za rzeką, zwaną Starą, zaczynało się Miasto.

Powód był najzupełniej praktyczny i prozaiczny. Jedyna stroma droga, wiodąca w głąb dolinki wzdłuż pojedynczego rzędu zabudowań, doprowadzała do ostatniej chaty i zaraz za nią kończyła się ślepo, uderzając w ścianę lasu. Las był rozrośnięty, wysoki, zdrowy, z bujnym podszyciem. Z kolei idąc grzbietami, granią, nie napotykało się bodaj na ślad dróżki, zbiegającej w tę akurat dolinę. Dlatego na Kupową nikt nie mógł przyjść z góry.

Po upalnym dniu nad południowym skrajem Parku przetoczyła się burza. Rozbiła zapiekłe powietrze i zmyła lesiste wierzchołki żywiołową ulewą. Potem wiatr ucichł, chmury odpłynęły i zaświecił księżyc. Była pełnia.

W najwyżej położonym domu kobieta wyniosła do sieni szczotkę i wiadro. Następnie wróciła do izby. W półmroku sosnowa podłoga lśniła białością. Kobieta umieściła na piecu czajnik, dotknęła jednego z kolorowych przycisków, po czym podeszła do ściany. Między dwoma kwadratowymi oknami, wychodzącymi na drogę, wisiał tam kiczowaty obraz, przedstawiający Świętą Rodzinę w Betlejem. Pod obrazem paliła się miniaturowa wieczna lampka i stał flakonik z wiązką polnych kwiatów. Kobieta zmieniała kwiatom wodę, zerknęła na obraz i uśmiechnęła się. Był to uśmiech dosyć szczególny. Szczery, życzliwy, ale w najmniejszym stopniu nie modlitewny. Już prędzej porozumiewawczy, jeśli nie wręcz poufały.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Kobieta zgasiła palnik pod parującym czajnikiem i zwróciła głowę w stronę sieni. Przez kilka sekund było cicho. Następnie pukanie zabrzmiało znowu. Inaczej, ostrzej. Ktoś przeszedł spod drzwi pod okno i stukał w szybę.

– Kto tam? – samotna gospodyni nie podniosła głosu ani o pół tonu wyżej, niż było to konieczne.

– Przemokłem do nitki. Zobaczyłem światło i zapukałem – odpowiedział z zewnątrz mężczyzna. – Mogę wejść?

Kobieta spokojnie przeszła do sieni, po czym natychmiast wróciła, sunąc tyłem drobnymi kroczkami. Za nią ukazała się osobliwa postać. Przybysz miał czarny kapelusz wsunięty na czoło po same brwi, niebywale krzaczaste i opadające na oczy jak u pekińczyka. Wydatny nos z przylegającymi do niego jasnymi skrawkami policzków otaczała poducha czarnego zarostu, w której bokobrody łączyły się z wąsami, a wąsy z szuflowatą brodą. Część tej ostatniej tonęła pod odchylonym kołnierzem peleryny, równie czarnej, jak kapelusz i zarost. Tylko buty, poniżej przykrótkich nogawek czarnych spodni, były brązowe. Przynajmniej niegdyś. Teraz stanowiły dwie bryły rozbabrannej gliny.

Czarny przestąpił próg, zrobił dwa kroki i stanął. Z jego kapelusza, brody i peleryny kapala woda. Na świeżo umytej podłodze rozlała się mętna kałuża.

– Pan do męża? – spytała współczująco kobieta. – Jest w pracy. Wróci dopiero pojutrze. Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie do męża..? – w oczach kobiety pojawił się wyraz napięcia. – My mieszkamy tu tylko we dwoje. Bo nie do mnie, prawda? Nie do mnie...? – powtórzyła błagalnie.

Czarny ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

– Po prostu przechodziłem – powiedział. – Wypogodziło się, ale z drzew ciągle jeszcze cieknie jak w łazience doktora Priessnitza. Dlatego tak wyglądam.

– Z drzew...? – kobieta stawiała się coraz bardziej nieufna. – Jak to, z drzew? A czemu nie wstąpił pan gdzieś po drodze? – spytała podejrzliwie. – Tu obok dwa domy są puste, bo sąsiedzi poszli na starość do dzieci, ale niżej? Dlaczego zatrzymał się pan dopiero tutaj?

– Co znaczy „dopiero tutaj”? – żachnął się przybysz. – Zapukałem do pierwszego domu, jaki mi się trafił. Nie szedłem z dołu, tylko z góry.

– Z góry?!

– No z góry, z góry! Przez las!

– Pan przyszedł z góry...?!

Czarny przestąpił z nogi na nogę. Rozległy się dwa soczyste mlaśnięcia.

– Wie pani co? Może rzeczywiście zejść jeszcze kawałek i spróbuję wysuszyć się gdzie indziej.

– Zaraz, zaraz! – powstrzymała go kobieta. – Z góry? Przez las? Przecież tamtędy nie można!

– Widocznie można! – warknął mężczyzna. – Wybrałem się na spacer grzbietami, złapała mnie burza, więc poszedłem na przełaj w dół. W końcu przecież i tak nie mógłbym nie trafić do osiedla w dolinie. A stamtąd od razu pojechałbym do siebie.

– Do siebie? Pan mieszka gdzieś niedaleko?

– Mieszkam i pracuję w instytucie. Jestem psychofizykiem. Zajmuję się...

– Wiem, wiem! – zawołała kobieta, nagle zupełnie odprężona i uspokojona. – Syn mojego szwagra też jest psychofizykiem. Był tu nawet niedawno, ze swoim kolegą. Przywieźli jakieś aparaty i chcieli mi je zakładać na głowę. Hi, hi! – zaśmiała się nieoczekiwanie, po czym raptownie załamała ręce. – Ale ja gadam i gadam, a pan mokry, zziębnięty... Już, już! – rzuciła się w stronę dziwnego, spóźnionego wędrowca.

Pięć minut później po kałuży i błotnistych plackach na podłodze nie było śladu. Peleryna, spodnie, kapelusz i brązowe buty, wyjęte z oczyszczacza, dosychały obok pieca. Ich właściciel, otulony kocem, siedział przy stole nakrytym śnieżnobiałą serwetą, obejmował dłońmi gorący kubek, pełen aromatycznej, ziołowej herbaty i spod tych swoich niebywałych brwi spoglądał na kobietę, która zajęła miejsce naprzeciw niego.

Gospodyni najwyżej położonego domu na Kupowej Górze musiała już dość dawno przekroczyć pięćdziesiątkę, ale jej okrągłe, niebieskie oczy tchnęły pogodą, zdrowiem i chęcią życia. Była tęga, lecz nie otyła. Miała ciemnoblonde włosy, gładko szesane do tyłu. Cera jej jasno opalonej twarzy przypominała cerę dziecka. Tylko nabrzmiałe dłonie, o szorstkiej skórze i pogrubiałych palcach zdradzały jej lata. Kiedy mówiła, jej głosu słuchało się z przyjemnością. A mówiła bez przerwy. Opowiadała niezwykle goście o swojej rodzinie, o mężu i dwóch dorosłych synach, pracujących daleko w Mieście. O sąsiadach. O ogródku, który sprawiał jej moc kłopotów, bo deszcze stale niszczyły tarasowate grządki, wykopane w nieznośnie stromym stoku.

Czarny słuchał nie przerywając. Dopiero gdy kobieta wstała, by dolać mu herbaty, powiedział:

– Właściwie nie najgorzej wam się tu żyje, co?

– A no – kobieta niefrasobliwie wzruszyła ramionami. Wróciła na swoje miejsce przy stole i dodała: – Jak wszystkim.

– Nie przeszkadzają wam ograniczenia, obowiązujące w rezerwacie?

– Ja nie narzekam – padła powściągliwa odpowiedź. – Ładnie u nas, spokojnie. Mąż czasem się złości – pokiwała głową. – Nie wolno tu budować tych nowoczesnych latających kolei, nie ma fotobusów. Musi dojeżdżać do pracy z przystanku za rzeką. A do rzeki i z powrotem pod górę chodzi piechotą, jak jego pradziadek. To kawałek drogi i stromo, więc do

domu wraca na noc dwa, trzy razy w tygodniu. Częściej nie daje rady. Cóż, proszę pana, mnie w zeszłym roku zaczął się siódmy krzyżyk, a on jest osiem lat starszy. Ale tak w ogóle...

Mężczyzna zerwał się, przewracając krzesło.

– Tak w ogóle, to po prostu jak w raju! – wrzasnął. – Co?!!!

Ten niczym nie sprowokowany wybuch, nie poprzedzony bodaj najdrobniejszym sygnałem ostrzegawczym, był tak gwałtowny, że kobieta też skoczyła na równe nogi i uciekła pod ścianę, gdzie zastygła z wyciągniętą szyją i wytrzeszczonymi oczami. Natomiast Czarny zaczął chodzić po izbie tam i z powrotem, szarpiąc koc, który krępował jego ruchy. Koc na przemian furkotał i skrzypiał jak żagiel na złamanym maszcie.

– W raju!!! – ryczał wściekle. – A żeby pani wiedziała, że moglibyście żyć jak w raju! Wszyscy! Ale nie! My w ogóle nie będziemy żyć! Niech pani wyrzy przez okno! No?! Co pani widzi?! – huknął, choć kobiecie ani się śniło ruszać z miejsca. – Księżyc jak z bajki. Nie?! Las, nie?! Prześliczną dolinę?! Piękne, stare domy?! Prawda?! Nieprawda!!! – zawył. – Widzi pani agonię! Śmierć! Śmierć! Ago... – zachłysnął się i urwał. Trwało dobrą chwilę, zanim udało mu się zaczerpnąć powietrza. Zabrział przeciągły dźwięk, przypominający pomyłkę szklarza.

– Proszę pana... – wykrztusiła kobieta, widać ośmielona przedłużającą się ciszą. – Proszę pana – złożyła dłonie. – To wszystko przez tę burzę. Zaparzę panu jeszcze herbatę. Na pewno ma pan gorączkę... – umilkła, bo Czarny gniewnie machnął ręką w jej stronę. Następnie jednak podniósł krzesło i postawił je z powrotem przy stole.

– Nie mam żadnej gorączki – był zachrypnięty, ale poza tym jego głos opadł do niemal normalnego tonu. – Tylko ilekroć znajdę się w jakimś pięknym zakątku na obrzeżu rezerwatu, muszę myśleć o Ziemi, której stamtąd nie widać. O całej Ziemi, rozumie pani? I zawsze ogarnia mnie taka pasja, że mógłbym... a, tam! – zaciętrzewił się znowu.

– Ale dlaczego? Dlaczego? – Kobieta, ujęta wiadomością, że nawet jeśli zapalczywy przybysz zrobi to, co mógłby zrobić, katastrofa nie spadnie wyłącznie na nią, lecz na cały świat, oderwała plecy od ściany i posunęła się dwa kroczki do przodu. – Dlaczego...?

Czarny ponownie zaczął krążyć po izbie, od stołu do stołu i z powrotem. Jego ruchy stały się jednak wolniejsze, opanowane.

– Dlatego, że te dwa tysiące rezerwatów, jakie pozostawiliśmy na Ziemi, to oszustwo – stwierdził. – Nie podeszła pani do okna, kiedy tak krzychałem – wasy wygięły mu się w górę, dotknęły nosa, po czym oklapły. Przy odrobinie dobrej woli można to było uznać za przelotny, niewesoły uśmiech. – Nie dziwię się. Przestraszyłem panią. Przepraszam. Chciałem jedynie, żeby pani zobaczyła, co pani traci. Woda zmywa grządki. Niestety. Mąż musi chodzić piechotą pod górę. Biedacek. Jednakże gdy się już w końcu wydrapie, ma przed sobą cudowną, pustą dolinę, za nią zielone góry, wyżej rozgwieżdżone niebo, z tyłu las, a w domu panią. Oczywiście, nie wiecie, że jesteście wybrańcami losu. Tego nigdy się nie wie... do czasu. Tylko, że to wszystko fałsz. Świat, od którego zależycie, wraz z całą tą waszą sztuczną Arkadią, jest inny. Jeszcze się męczy, ale już cuchnie trupiarnią. Kiedy opustoszały archipelagi wieżowców, kiedy o podziale żywności, leków, oraz dwóch czy trzech podobnych rzeczy zaczęliśmy decydować globalnie, kiedy po uruchomieniu orbitalnego systemu energetycznego przestała dymić ostatnia elektrownia, optymiści wpadli w euforię. Cel! Sens! Aspiracje! – darli się jeden przez drugiego. Teraz nareszcie człowiek odnajdzie samego siebie! Ach, ach, będzie świetnie! No i co? – Czarny zatrzymał się, chwycił oburącz oparcie krzesła i zawisł nad stołem, wpatrzony w milczącą kobietę. – I nic. Bryja. Kłapa. Marmolada. O, tak! Każdy, kto sobie tego życzy, może mieć dzisiaj przed domem splachetek własnego, wyliniałego trawnika! Ale czy pani rozumie, co to oznacza, że tak jakoś nie wiadomo kiedy zaczęliśmy zamiast „Ziemia” mówić po prostu „Miasto”? Na całej planecie nie ma jednej głowicy termojądrowej. Nie ma broni „humanitarnej”, eliminującej. Nie ma wojen, nie ma armii. Zostały wyłącznie nieszkodliwe, kadłubowe sztaby. Tacy grzeczni, dyskretni teoretycy.

Bez mała hobbyści. Tylko że ci pocziwcy dniami i nocami nadzorują superrakiety wraz ze wszystkim, co wylęгло się w duszyczkach współczesnych von Braunów, a co tak elegancko przenieśliśmy stąd na orbity, między pierścienie energetyczne. I na Księżyc. Czy możemy mieć do nich pretensje? W żadnym razie. Przecież pilnują się nawzajem lepiej niż najwytrawniejsi pokerzyści. Z tego podzielonego jak pomarańcza kosmosu coś w końcu gruchnie, bo rachunek prawdopodobieństwa dowodzi, że gruchnąć musi, lecz ponieważ nie wiemy, czy zdarzy się to jutro, czy za sto lat, póki co pójdziemy z poczuciem odpowiedzialności do pracy, a wracając zahaczmy o jakąś aukcję, coś kupimy i wstąpimy do banku. Ale i pomijając wizję pękających głowic, bez oglądania się na rachunek prawdopodobieństwa, możemy dokładnie obliczyć, ile dzieli nas od dnia, w którym pani i tak to straci – mężczyzna wyciągnął rękę w stronę okna. Koc, spływający z jego ramienia, udrapował się w skośne fałdy. Czarny wyglądał teraz jak demon z seryjnego thrillera. – Rezerwatów nie przeniesiemy na planety Centaura, nawet gdybyśmy tam kiedyś dotarli, czego na pewno nie zdążymy dokonać – kontynuował. – Zginą wraz z Ziemią. A Ziemia ginie. Przyczyny... O, jest ich niemało. Poprzestańmy na jednej. Te arsenały na orbitach są obsługiwane przez setki wahadłowców. Otóż od dawna potrafimy wskazać rok, w którym ozonowa osłona planety do reszty pójdzie w strzępy. Będzie to rok ostatni. Już teraz w naszym kodzie genetycznym zachodzą nieodwracalne zmiany. Wie pani, co mnie najbardziej złości?

– Wiem – kobieta, już zupełnie spokojna i rozluźniona, podeszła do stołu. – Mówił pan przecież – spojrzała na Czarnego. W jej oczach zamigotały ciepłe błyski. – To, że tu tak ładnie, a tam świat...

Mężczyzna przerwał jej pogardliwym prychnięciem.

– Dziecinada! – rzucił pod własnym adresem. – Sztubackie nastroje. Somnambuliczny romantyk na wysypisku śmieci? Nie. To nie ja. Prawdziwa wściekłość ogarnia mnie dopiero, kiedy pomyślę, że ta nieuchronna zagłada wcale nie musi być nieuchronna. W ciągu tygodnia moglibyśmy posłać do diabła wszystkie orbitalne bazy, razem z ich ładunkami. Moglibyśmy jeszcze wskrzesić lasy Amazonii, dorzecza Konga, Kanady. Moglibyśmy odbudować ozonosferę, instalując w atmosferze tlenownie, od razu wytwarzające gaz o cząsteczce trójatomowej. Trzeba tylko trochę więcej mądrości i dobrej woli. Trzeba trochę innego człowieka. Ale skąd go wziąć? Posiadamy powszechny dostatek żywności i pławimy się w nadmiarze energii. Miało to nas gruntownie przewartościować. Mieliśmy zacząć myśleć o tych wiekach, w ciągu których trzymało nas w trybach błędne koło: produkcja – potrzeby – produkcja – potrzeby – jak dziś myślimy o epoce niewolnictwa. Akurat! Okazało się, że energetyczna manna zamiast rozwalić ten szatański młyn, tylko przyśpieszyła jego obroty. Czy może się narodzić nowy człowiek wśród figurek oszalałej karuzeli, daremnie wyciągających ręce, by skrócić dystans dzielący ich od uciekającej w tym samym tempie cudownej lampy Aladyna? Dalej, dalej, dalej, z muzyką, feeriami reklam, po jeszcze jeden automacik, jeszcze jedną błyskotkę, jeszcze sto pierwszą nóżkę dla nakręcanej stonogi. – Czarny zrobił krótką pauzę. Ochłonął i dodał ciszej: – Właśnie to jest nasza klęska i to doprowadza mnie do prawdziwej furii.

– Niepotrzebnie – powiedziała kobieta tonem dobrotliwej przygany. – Niepotrzebnie. Przekona się pan. Będzie ten, jak pan mówi, trochę inny człowiek – w jej głosie brzmiała niezachwiana pewność. – Inny świat.

– Lepszy?

– Tak. Trzeba w to wierzyć. Trzeba wierzyć.

– Pani wierzy?

Kobieta skinęła głową.

– Pozazdrościć – burknął kąśliwie mężczyzna. – Niestety, wierzyć, to grubo za mało. Należałoby w jakiś sposób tak potrząsnąć tą gnijącą skorupą, żeby gwiazdy poleciały z sufitu. Co do mnie, nie znam takiego sposobu. Nikt go nie zna.

– Polecą.

– Co?!

– Gwiazdy. Przynajmniej jedna. Już raz ją widziano. Wszystko się zmieni.

– Co?!

– To, co pan słyszy – role się odwróciły. Teraz kobieta miała argumenty, które dotąd trzymała w zanadru. Ona dyktowała warunki. – Nie rozmawiałabym o tym z obcym – ciągnęła – choć to żadna tajemnica. Ale pan przyszedł z góry. Wie pan, ja jestem w ciąży.

Zapadła cisza. Z zewnątrz dobiegł szum lasu. Coś zaszeleściło w kominie.

– W ciąży...? – wybąkał po dłuższej chwili mężczyzna.

Kobieta przytaknęła.

– Nie rozumiem... Sama pani mówiła o tym swoim siódmym krzyżyku...?

– Och, proszę pana – uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Kiedy Pan Bóg kogoś wybiera, to nie pyta o lata. Jestem w ciąży już trzeci rok.

– Co...?

– A tak. Urodzę Pana Jezusa.

Czarny podciągnął koc, odsłaniając owłosione łydki. Zupełnie, jakby nagle sobie przypomniał, że na tym złym świecie lepiej mieć zapewnioną swobodę ruchów, przynajmniej od pasa w dół. Następnie odchrząknął i wymruczał:

– No to tego... – pozbierał swoje rzeczy i wyszedł z nimi do sieni. Gdy wrócił, ubrany jak wtedy, kiedy pierwszy raz wkroczył do izby, kobieta stała w tym samym miejscu, w nie zmienionej pozie. Na jej twarzy wciąż tlił się uśmiech, trochę zawstydzony, trochę zalotny, trochę zwycięski, ale nade wszystko pogodny jak jedyny dobry sen Michała Anioła.

Mężczyzna rzucił koc na krzesło, cofnął się i uważnie zmierzył wzrokiem krzepką postać gospodyni. Najwyraźniej wahał się, czy wypowiedzieć na głos myśl, która przyszła mu do głowy przed chwilą w sieni, czy raczej to sobie darować. W końcu przemówił. Popełnił błąd. Widać kiepsko znał się na uśmiechach.

– Zażartowała sobie pani ze mnie, prawda? – spytał. – Dlatego, że tyle gadałem o naszych grzechach? W porządku. Należało mi się. Rzeczywiście, poniosło mnie...

Przerwał mu szczery, niegłośny śmiech.

– Nie uwierzył mi pan! – zawołała radośnie kobieta. – To nic. Wcale się nie gniewam. Nasz ksiądz, w tym kościółku na dole, także mi nie wierzy. Nawet się złości, że za często przychodzę do spowiedzi. A ja muszę przychodzić, bo nie wiem, kiedy to będzie. Ale uwierzy – spoważniała. – Pisałam już do biskupa. Zawiadomiłam również papieża. Mieliby do mnie żal, gdybym ich nie uprzedziła.

Czarny znowu odchrząknął, po czym powiedział zmienionym głosem:

– Już późno. Dziękuję i dobranoc – skierował się ku sieni. Kobieta odprowadziła go do drzwi.

– Przed spaniem niech pan sobie koniecznie naparzy kwiatu lipowego – posłała za oddalającą się postacią. – Nic tak nie pomaga na przeziębienie. I uspokaja. Tylko niech pan nie zapomni.

– Nie ma obawy – dobiegło z cienia. – Nie zapomnę.

– Dobranoc – kobieta zamknęła drzwi.

Czarny przeszedł kilkanaście kroków i zatrzymał się. Zerknął za siebie, po czym obiegił oczami uśpioną dolinę.

– Co się przejmujesz? – zaburczał ironicznie. – Napij się ziółek. To uspokaja. Włóż pantofle i czekaj. Ona urodzi Chrystusa, Chrystus odkupi nasze winy względem Ziemi i wszystko będzie dobrze. Moje szczęście, cholera. Burza, ulewa, las jak zasieki i w pierwszej

chałupie wariatka. Powinienem być jej powiedzieć, że mit matki rodzącej boga-zbawcę wije się przez wieki niczym kosmiczny wąż. I że psychiatrzy mają z nim najwięcej roboty właśnie zawsze wtedy, kiedy cywilizacja potyka się nad przepaścią. Ale i tak powiedziałem dosyć. Cholera. Ona stuknięta, a ja? Ryczałem, że chałupa się trzęsła. Teraz na odmianę gadam do siebie. Powoli. Dzisiaj wszyscy częściej gadają do siebie, niż do innych. A może to przez ciebie? – Czarny nagle zadarł głowę i wbił wzrok w okrągłą tarczę księżyca. – Ty prabogini, ty! Ty kobieca duszo ludzkości! Wisisz nad tą cichą dolinką jak srebrna wiedźma! Przez tysiąclecia łagodniej karano zbrodnie, popełnione podczas pełni! Co ty na to?! A napady melancholii? Schizofrenii? Napięcia neurohormonalne? Mnie nie oszukasz. Wiem, jak potrafisz świdrować w ludzkich mózgach. Jestem fachowcem, rozumiesz?! Gdyby ktoś rzeczywiście miał spłodzić nowego człowieka... Nowego człowieka... – mężczyzna raptem umilkł. Długo stał nieruchomo z uniesioną twarzą. Następnie znowu coś zamruczał. Ale przestał wymyślać księżycowi. Powtarzał jedno słówko: – Gdyby... Gdyby... Gdyby...

Minęło dwadzieścia minut. Może pół godziny. Czarny nie patrzył już w niebo, tylko pod nogi. Wyciągniętym, sprężystym krokiem sadił w dół, mijając pojedyncze domy, przylepione do drogi. Była północ. Za chwilę miał się zacząć nowy dzień.

II. Ziemia jeden. Jeden

Przeciągnąłem się z lubością i głęboko odetchnąłem. Leżałem wygodnie na czymś znakomicie nadającym się do leżenia. Pachniało jabłkami. Czułem się cudownie wypoczęty, odprężony od czubka czaszki po koniuszki palców.

– Może pan wstać – usłyszałem.

Wstawać mi się nie chciało. Uniosłem powieki. Zobaczyłem tuż nad sobą morde brodacza monachijskiego. Lubię psy, ale na dzień dobry wolałbym ujrzeć psa, którego znałem. A jeśli już obcego, to odrobinę młodszego. Ten mógłby być dziadkiem posiwiątego Akeli.

– Pfuj – powiedziałem łagodnie. – Szukaj, szukaj.

Morda odpłynęła w górę. Okazało się, że to nie pies.

– Nie pies – przyznałem na głos. – Jałowiec – skonstatowałem, patrząc z podziwem na niewiarygodnie bujny, srebrnobiały zarost pochylonej nade mną twarzy. Twarz pewnie posiadała oczy, lecz nie sposób było się co do tego upewnić.

– Gałąź jałowca, obcięta i odwrócona – kontynuowałem.

– Ciekawy kolor. Jakiś księżycowy jałowiec.

– Niech pan wstanie – głos dobywający się z siwej gęstwiny brzmiał przesadnie rzeczowo. Uniosłem się na łokciach i rozejrzałem. Sen uciekł ze mnie jak złoty pył spod abażuru, kiedy zgaśnie lampa. Ale światło nie zgasło. Przeciwnie, nabrało ostrości. Równocześnie wyostrzyły się szczegóły wnętrza, w którym przebywałem, kontury przedmiotów, a także zarysy postaci. Usiadłem, spuściłem nogi na podłogę i chwyciłem dłońmi krawędź wąskiej, wysokiej leżanki. Spałem na zwykłej, ambulatoryjnej leżance, nie na barokowym łożu, przywiezionym specjalnie dla mnie z sal wystawowych Wersalu. Bezpośrednio nade mną, pod wklęsłym sufitem, widniało ażurowe rusztowanie z przewodami, gniazdkami i uchwyty, mogące służyć jedynie jako wiszący stelaż dla zestawów specjalistycznej aparatury. Ale żadnej aparatury na nim nie było.

Leżanka stała w centralnym punkcie kolistej hali. Regularna kopuła, stanowiąca ściany i sufit, nie posiadała ozdób ani jakichkolwiek urządzeń. Nie mówiła absolutnie nic o zajęciach ludzi, którzy tu bywali. Wyjawszy ową szkieletową konstrukcję nad leżanką, była gładka jak zwierciadło orbitalnej anteny, pokryte szronem zielonkawej barwy. Ten sam odcień miały szyby w oknach, oraz zasłony, wykonane z lejącego się, matowego tworzywa.

Dwa kroki przede mną stał starszy, krępy mężczyzna z wypukłym czołem i pióropuszem białych włosów, okalających łysinę na ciemieniu. Jego owalna twarz, pokryta niemal w całości siwym zarostem i przedłużona ku dołowi rozwichrzoną brodą, naprawdę przypominała zawieszoną na nitce gałąź srebrnego jałowca. Oczy ginęły mu pod niewiarygodnie wybujałymi brwiami. Nic dziwnego, że wyrwany z rozkosznego snu, w pierwszej chwili wziąłem go za sędziwego brodacza monachijskiego lub kudłatego owczarka.

Przeniosłem wzrok na drugiego mężczyznę, przyglądającego mi się z nieco większej odległości. Ten był młodszy, zaledwie szpakowaty, wysoki i chudy. Nosił staroświeckie okulary, zza których patrzyły zimne, bładoniebieskie oczy, podkrążone rogalikowatymi sińcami. Jego wargi wyglądały jak zlepione kreseczki i były tak wykrojone, że przyjąłbym za coś zupełnie naturalnego, gdyby spomiędzy nich wysunął się nagle okrągły, długi język z dwoma ruchliwymi koniuszkami. Dlaczego nie? Pan Jałowiec i pan Kobra. Poczytaj mi, mamu. W porządku.

Był jeszcze ktoś trzeci. Dziewczyna. Stała z boku, w nogach leżanki, leciutko podana do tyłu. Miała jasnozłote włosy z jakimś fantastycznym połyskiem, którego sprawcą mogła być jednak wszechobecna tutaj zielonkowatość. Wielkie chabrowe oczy patrzyły na mnie z niemym wyczekiwaniem. Była drobna, lecz nie nazbyt filigranowa i w ogóle zgrabna jak Królewna Śnieżka. Nosiła krótką białą sukienkę bez rękawów. Chciałem dojść, co mi się tak

podoba w jej twarzy, ale niczego nie wymyśliłem. Ładna? Miła? To też, tyle, że to nic nie znaczy. Nasunęło mi się określenie: prawdziwa. Bez sensu. Pewnie kręciło mi się jeszcze w głowie po tym dziwnym spaniu. Nigdy w życiu nie widziałem takiej ślicznej dziewczyny.

Nie widziałem...

Zaraz. Zaraz. A co ja właściwie w życiu widziałem?

Och, mnóstwo rzeczy! Krajobrazy Miasta i rezerwatów. Architekturę. Wnętrza. Atrybuty codziennego życia. Fabryki, domy, pojazdy, laboratoria, automaty. Programy i schematy informatyczne. Komputery, książki. Setki książek. Ludzi, naturalnie, także. Mężczyzn i kobiety.

Otóż nieprawda. Żeby móc powiedzieć: widziałem – trzeba wiedzieć, że się gdzieś było, na coś patrzyło, coś obserwowało, wysnuwało wnioski i zapamiętywało. A ja tylko znałem te krajobrazy, wnętrza, aparaty, ludzi i tak dalej, ale w ich poznawaniu sam nie uczestniczyłem. Nie istniałem we własnej pamięci ani wśród nich, ani bodaj na ich tle. W ogóle nie istniałem.

Nigdy nie widziałem takiego srebrnego jałowca? Takiej ślicznej dziewczyny? A czy kiedykolwiek widziałem swoje odbicie w lustrze?

Kim jestem? Czym jestem? Jak się nazywam? Ile mam lat? Którędy i jak długo szedłem, zanim trafiłem pod tę kopułę, żeby się zdrzemnąć na szpitalnej leżance i obudzić wyprany z wszelkich, absolutnie wszelkich, wspomnień? Noworodek ma ich więcej. Znacznie więcej, jeśli wierzyć embriologom.

Chwileczkę. Coś tu się nie zgadza. Niech będzie, że noworodki mają wspomnienia, ale na pewno nic nie wiedzą o embriologii. Ani, na przykład, o amnezji.

Oderwałem wzrok od dziewczyny i jeszcze raz, powoli, ze skupieniem, rozejrzałem się po hali. To słabe określenie: nie zgadza. Śmiesznie słabe.

Kiedy człowiek traci pamięć, zapomina wszystko. Trzeba go uczyć, że noga to jest noga, pokazywać, jak się wkłada buty i jak trzyma widelec. A ja znałem nazwy przedmiotów, na które patrzyłem, znałem ich pochodzenie, przeznaczenie, cechy materiałowe, często i technologię ich wytwarzania. Potrafiłem wyliczyć niezliczoną ilość pojęć, związanych z tym, co akurat oglądałem, rozgraniczyć je, rozwinąć i objaśnić. A kiedy wybiegłem myślą poza przestrzeń zamkniętą zielonkawą kopułą, ujrzałem panoramę cywilizacji. Nie było w niej jednego elementu, który przedstawiałby dla mnie zagadkę. Oczywiście, jeśli pominąć kilka podstawowych, dziecinnych pytań najogólniejszej natury. Ale żeby nie umieć odpowiedzieć na te pytania, nie trzeba zostać dotkniętym amnezją, więc mniejsza o nie.

Kiedy człowiek traci pamięć...

O, nie. Mamy tu parę drobiazgów wartych zastosowania. Wiem dużo, lecz nic o sobie. To raz. Dwa, medycyna nie notuje przypadków amnezji, aż tak precyzyjnie ukierunkowanej. Trzy, miejsce, w którym się znajduję. Nie jest to sala operacyjna, choć ta konstrukcja pod sufitem pewnie może być opuszczana, wraz z podpinaną do niej w razie potrzeby aparaturą. Ale pacjenta, który ma być poddany operacji, nie kładzie się na zwykłej leżance. Nie jest to również pokój zabiegowy, diagnostyczny, ani gabinet intensywnej terapii. Ani w ogóle szpital. Brak mebli, urządzeń, narzędzi. Separatek dla rekonwalescentów, o rozmiarach sal gimnastycznych, też nie oferują nawet najbardziej ekskluzywne sanatoria dla znerwicowanych miliarderów. Mieszkanie? Koń by się uśmieł. Pracownia? Możliwe. Pod warunkiem, że właśnie usunięto z niej stare wyposażenie, a nowego jeszcze nie dowieźli. Wówczas jednak zostałyby ślady. Choćby takie, jakie zostają po zdjęciu obrazu ze ściany, przed malowaniem. Nie było żadnych śladów. Zatem, gdzie jestem? Po czwarte, ta przypatrująca mi się trójka. Jałowiec, Kobra i dziewczyna. Ile sekund upłynęło, odkąd usłyszałem: niech pan wstanie? Z całą pewnością nie są to już sekundy, tylko minuty. Nie wstałem. A oni milczą. Nic nie robią, nie ruszają się. Patrzą na mnie i milczą. Czy tak mogliby się zachować lekarze? Pielęgniarze? Na pewno nie. Kto wobec tego mógł się tak

zachować? W jakich okolicznościach? Zresztą, nie wyglądali na lekarzy. Nie powierzyłbym im kota, cierpiącego na obstrukcję. Biała, niemal plażowa sukienka dziewczyny. Proszę bardzo. Dziewczyna niech sobie nosi co chce. Ale Kobra, w wyświechtanych džinsach i ohydnej, brudnej koszuli, wylewającej się na pasek, niczym zwłoki zagłodzonej ośmiornicy? Jałowiec miał wprawdzie czysty zielonkawy kitel, lecz przykrótkie nogawki jego spodni wyglądały jak skąpane w bagnie. Poza tym praktykujący lekarz nie mógłby chodzić z aż tak zarośniętą gębą. Goliłby sobie przynajmniej policzki.

A ja?

Spojrzałem po sobie. Błękitne spodnie. Czyste, odprasowane, nie za obszerne i nie nazbyt ciasne. Z paskiem, sporządzonym z tego samego materiału. Materiał był lekki, przewiewny, miły dla oka i w dotyku. Niemal nie czuło się go na skórze. Identyczne tworzywo posłużyło do wykonania ni to koszuli, ni bluzy. Przyjemny, letni komplet. Pod spodniami miałem jakieś elastyczne, nie uwierające slipy. Bluzkę włożyłem na gołe ciało.

Uniosłem ramię. Z krótkiego rękawka wybiegała mocna, opalona, młoda męska ręka. Drugie ramię przedstawiało się podobnie. Obejrzałem obydwie ciekawie i z zadowoleniem. Nie byłem chory, a jeśli, to nie ciężko i nie długo. Nie mógłbym mieć takich rąk. Nie czułbym w nich tyle siły.

Wypadek? Uraz czaszki, czy coś w tym rodzaju?

Nie wiem kiedy dojrzało we mnie postanowienie: o nic nie pytać. Udawać, że wszystko jest w zupełnym porządku. Musiało to nastąpić już chwilę temu, ale wówczas decyzja zapadła w mojej podświadomości. Dopiero w tym momencie mogłem ją odrzucić bądź zaakceptować. Uczyniłem to drugie.

Uśmiechnąłem się i tak od niechcienia przyglądałem sobie włosy. Włosy miałem miękkie, gęste, dość krótko przystryżone. Objąłem twarz dłońmi, po czym przejechałem nimi od czoła i skroni do podbródka. Twarz jak twarz. Lepiej byłoby ją jednak zobaczyć. Na przykład nos sprawiał niezłe wrażenie. Mógł być bulwiasty albo kopytkowaty. Ale był raczej szczupły, chyba regularny. Cera dobra, choć powinienem się już ogolić. Żadnych brodawek ani pryszczu. A przede wszystkim śladu opatrunków, szwów, plastrów i tym podobnych.

Nie miałem wypadku.

Szaleństwo?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI